

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

6

— No mów, Helu, o co chodzi?

— Widzisz, miałam przed kilku dniami ciekawą przygodę... to jest właściwie źle się wyraziłam... nie było w tem nic ciekawego i szczególnego... ale ot tak jakoś...

— No, bez wstępów i omówień, Helka, gadaj co to było, gdzie i jak?

— To było tak... Miałam przykre przeżycie z matką, które mnie silnie zdenerwowało. Wybiegłam więc wieczorem z domu. Chciałam iść na Błonia, żeby się uspokoić, no i przyznam ci się, żeby się wypłakać trochę. Od ulicy Wolskiej zaczął iść za mną jakiś młody wojskowy. Szedł krok w krok, ale nie mówił nic. Ty wiesz, jak nie znoszę wszelkich zaczepki.

Opowiedziała Witowtównie swoją rozmowę z nieznajomym i zakończyła jakoś niepewnie:

— Doprawdy, nie wiem sama, dlaczego pamiętam o tem dotychczas i opowiadam ci. Toż to przecie głupstwo niewarte wspomnienia. A jednak... wiesz w głosie tego człowieka było coś dziwnego — a ma głos bardzo sympatyczny — kiedy mówił: „to nie ja jestem winien, ale pani cudne, cudne oczy“... Nie lubię ja komplementów wogóle, a tem mniej zbieranych na ulicy od nieznajomych, ale to nie był zwykły, banalny komplement. O! nie..

— Aha! „Umarłe“ serce zmartwychwstaje — pomyślała Kornelia, a głośno zapytała:

— Jakże wyglądał ten twój piękny nieznajomy? Bo jak przystało na bohatera romantycznej przygody powinien być pięknym...

— Jak wyglądał?... Zaraz ci powiem. Zapamiętałam go sobie dobrze. Oczy ma bardzo ładne, niebieskie — takie jakieś śmiałe, szczere, serdeczne... Włosy ciemno-blond po angielsku przystrzyżony. Wysoki jest, trzyma się prosto, jak zwykle żołnierz... Ranny jest w prawą rękę, ma ją na temblaku. Ale wiesz co? Mnie się zdaje, że ja go raz już widziałam na ulicy i to właśnie z tobą!

W piersi Witowtówny szarpnęło się coś.

— Być może... nie wiem... nie pamiętam... nie przypominam sobie, ktoby to mógł być taki? — odrzuciła pośpiesznie.

To on dlatego pytał o nią!

— Kiedyż odjeżdżasz na wieś? — zapytała Kornelia szybko, trochę gorączkowo.

— Prawdopodobnie jeszcze w tym tygodniu pojedę do Zalesinek, bo tak się ta wieś nazywa. — Chciałabym jak najprędzej. Odwiedzisz mnie, Kornelko, dobrze? Tam podobno ładna okolica, duże lasy... Przyjedziesz?

— Chętnie, jeżeli tylko znajdę dzień wolny.

ROZDZIAŁ V.

— Mamusi, czy Ludwik śpi jeszcze?

— Tak, moje dziecko. Proszę cię, Janiu, nie stukaj naczyniami, bo go obudzisz!

— Ależ to już dziesiąta! — rzuciła niecierpliwie Janka, szesnastoletnia dziewczyna, nad wiek wybujała — Kiedyż on nareszcie wstanie? Spi i spi, a śniadanie czeka!

— To cóż z tego — odparła pani Rażycka — Ludwiś jest ranny, osłabiony, trzeba mu dużo snu i wypoczynku.

— Ładnie on wypoczywa, przed dwunastą w nocy nigdy go niema w domu. Nic dziwnego, że później śpi do południa, ale żeby mu to jego „werdebowanie“ posłużyło na zdrowiu, to wątpię... Mnie się zdaje, że on tutaj w Krakowie zamiast się pokrzepić, to zmizerniał.

Pani Rażycka westchnęła.

— Ach, to ci koledzy go tak ciągną — ten Staś Herwicz...

— El! Niby to Ludwik dziecko, on sam drogę znajdzie...

— Janko! — zgromiła ją surowym tonem matka — Cóż to znowu za krytyka starszego brata!

— Mówię tylko prawdę, mamusi.

Janka Rażycka z pozoru przedstawiała skończony typ podlotka, wybujałego nagle w górę, płaskiego, niezgrabnego, o długich, chudych nogach, niewyraźnej cerze i nieukształtowanych jeszcze rysach twarzy.

Czy w przyszłości dziewczę-poczwarka rozwinie się w ładną kobietę, trudno było na razie określić, pomimo uderzającego kontrastu bujnych jasno-żłoci-

stych włosów i pięknych czarnych oczu, tryskających żywą inteligencją.

Ta ściąga, chuda twarz dziewczęcia musiała jednak zwrócić uwagę każdego bacznego obserwatora swoim wyrazem wielkiej energii i jakiejs przedwczesnej dojrzałości duchowej.

W spojrzeniu, w głosie, nawet w szorstkich ruchach swoich miała Janka coś, co wskazywało, że poziomem umysłowym przerasta swoje rówieśnice.

Matkę raziła nieraz jej szorstkość i bezwzględność w wypowiedzaniu swego zdania, niemniej jednak czuła się dumną z tego intelligentnego, pracowitego dziecka i duszy kryształowo czystej, a zapalającej się do wszystkiego, co szlachetne i dobre.

Wojna silnie oddziaływała na Janke. Pod wpływem zewnętrznych wypadków, nieszczęść i przewrotów wrażliwa dusza dziewczęcia rozwijała się i dojrzewała szybko.

Janka wyrabiała sobie swoje, samoistne nowe poglądy, które wypowiadała przy każdej nadarzającej się sposobności z raziącą nieraz bezwzględnością i surowością i które przeprowadzać chciała w życiu z tą nieustępliwością, z tym burzliwym zapałem pierwszej młodości, która kompromisów żadnych nie zna i znać nie chce.

Janka od najmłodszych lat zdradzała charakter silny i stanowczy, a z wiekiem rozwijało się w niej to i potęgowało. Dziewczę coraz mocniej objawiało silną wolę, która toruje sobie własne drogi i niemi kroczy.

Na tem tle pomiędzy Janką a matką przychodziło kiedy niekiedy do pierwszych starć, które się kończyły zwykle tem, że córka przeprowadzała swój plan — poprzednio zawsze logicznie i konsekwentnie we wszelkich szczegółach obmyślany.

Już podczas wojny Janka sama bez niczyjej pomocy, usilnie pracując po nocach, przygotowała się do egzaminu z łaciny, greki i matematyki, poczem oświadczyła matce, że chce zapisać się do gimnazjum.

Pani Rażycka, która miała swoje, nieco staroświeckie zapatrywania na wykształcenie i wychowanie kobiet, usiłowała sprzeciwić się temu.

— To nie dla ciebie, Janiu! — powiedziała.

— Dlaczego, mamusi? — zapytała spokojnie i poważnie dziewczyna — Przecież Ludwik przynosił nieraz do domu „dwóje“, opuszczał lekcye, wykrecał się, wykłamywał, a jednak posyłano go do gimnazjum i nawet płacono mu korepetytora. A ja, mamusi, chcę się uczyć i będę pracować pilnie i wytrwam, zobaczysz mama.

— Ach, moje dziecko! Widzisz, to zupełnie co innego. Ludwiś jest chłopcem... Nie wszystko, co czyni i czynić może mężczyzna, przystoi kobiecie.

— Zgoda, mamusi, ja to rozumiem i gdybym ja chciała tak jak mój brat palić papierosy, pić piwo i wódkę, grać w bilard, urządzać profesorom awantury, śpiewać serenady pod oknami, wymykać się na „werdeby“ — toby mi mamusia słusznie powiedzieć mogła, że to kobiecie nie przystoi, ale jeżeli ja chcę pracować i uczyć się, to cóż w tem złego?

Na to nie było odpowiedzi. Janka postawiła na swoim. I podobnie bywało w wielu innych wypadkach. Matka ustępować musiała przed logiczną argumentacją młodziutkiej córki, która jednak dobrze wiedziała zawsze, czego chce i do czego dąży.

Córka zwyciężała, nie wychodząc jednak nigdy z granic należnego matce uszanowania. Te rozbieżne poglądy i drobne starcia nie psuły jednakowoż harmonii pomiędzy Janką a matką.

Pani Rażycka należała do tego typu kobiet, o których pewien psycholog francuski powiedział, że są to „geniusze uczucia“.

W jednym tylko wypadku szorstka otwartość Janki raziła panią Rażycką boleśnie, kiedy chodziło o Ludwika.

Matka musiała często przyznać sama przed sobą, że surowe sądy siostry o Ludwiku nie są pozbawione pewnej, a czasem nawet wielkiej dozy słuszności, niemniej jednak nie chciała, aby ktokolwiek, choćby nawet Janka, krytykował ukochanego jej syna.

Dlatego też i teraz, kiedy córka na jej uwagę spokojnie odpowiedziała: „mówię tylko prawdę“, zapanowała chwila ciężkiego, przykrego milczenia.

— Wie mamusia co? — podjęła znowu rozmowę Janka, ale daleko łagodniejszym już tonem — Ja myślę, że to byłoby dobrze, gdyby Ludwiś pojechał na kilka tygodni na wieś na przykład do Zalesinek. Przecież Anielka już go dwa razy bardzo serdecznie zapraszała.

Pani Rażycka podniosła żywo głowę. Zapomniała już o poprzedniej przykrości.

— Wiesz, Janiu, że to myśl, nad którą warto się zastanowić. Świeże powietrze, wiejskie mleko,

spokój, toby mogło istotnie doskonale oddziaływać na zdrowie i nerwy Ludwika.

— A towarzystwo dwojga takich ludzi, jak Anielka i jej mąż — to nic nie znaczy?

— Naturalnie, naturalnie masz rację. Tylko smutno byłoby rozstawać się nam z nim.

— Jeżeli to potrzebne dla jego dobra, mamusi?

— Słusznie mówisz, Janiu — jego dobro rzecz pierwsza. Tylko czy on zgodzi się na ten projekt, czy zechce wyjechać?

— O to musimy już zapytać jego samego. Ale doprawdy on mógłby już wstać. Ja go chyba pójde obudzić.

— Zbyteczne, Janiu — ozwał się nagle we drzwiach głos Ludwika — bo oto już wstałem i jestem, niecierpliwa panno siostro. Dzień dobry, mateczko!

— Janiu, kawa dla Ludwisia, prędko kawa!

Na stole, nakrytym białym obrusem, pojawiły się wszelkie przysmaki, na jakie zdobyć się można w mieście przy „wojennem śniadaniu“.

— Jedz, Ludwisiu, jedz! — zachęcała syna pani Rażycka.

Ludwik nie zabierał się jakoś do jedzenia. Kawę mieszał długo łyżeczką; kawałek specyjalnie dla niego pieczonego ciasta podniósł do ust i położył znowu, nie ugryzł ni kęsa.

Przez czas swojego pobytu w Krakowie Ludwik zmienił się i zmizerniał. Ranna ręka goiła się wprawdzie dobrze, ale cera młodzieńcza straciła swoją czerstwość i ogorzałość, a przybrała jakiś żółtawy odcień.

Oczy miał podkrążone ciemnymi obwódkami, a zrenice jakby zmętniały, a w całej postaci jego malowało się znużenie.

— Dlaczego nie jesz? — nalegała matka — Kawa wystygnie... Czy ci nie smakuje, może śmietanka niedobra? Ach! Gdybyś wiedział, jak teraz trudno nawet za drogie pieniądze dostać coś porządnego.

— Nie, mamo, dziękuję, kawa doskonała, tylko ja jakoś dzisiaj nie mam apetytutu.

Janka wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się znacząco. Pani Rażycka westchnęła mimowolnie.

W tej chwili drzwi otworzyły się i ukazała się w nich służąca, w obu rękach dźwigając otulony w różowe bibułki wazon, z olbrzymią śnieżno-białą o odurzającej woni tuberozą.

— To posłaniec przyniósł dla pana Ludwika — rzekła, stawiając ostrożnie wazon na bocznym stoliku.

Twarz Ludwika ożywiła się, oczy mu błysnęły.

— Czy nie było jakiego listu przy tem? — pytał.

— Nie, nie było żadnego — odparła służąca, tłumiąc domyślny uśmiech.

Ludwik wstał i podszedł do stolika. Z widocznym upodobaniem, z uśmiechem zadowolenia na ustach zaczął się przypatrywać tuberozie, dotykać białych kielichów kwiatu, wdychać upajający zapach.

Po twarzy pani Rażyckiej przemknął chmurny cień, a z czarnych oczu Janki strzelił płomień gniewu.

— Ależ to waryacya poprostu! — zawołała — Dzisiaj tuberoza, wczoraj róże, przedwczoraj jakieś nadzwyczajne cukry, kiedyindziej storczyki, które musiały Bóg wie ile kosztować! Ta waryatka, która to wszystko przysyła, to warta... no już nie wiem czego... Zebym się tylko dowiedzieć mogła, kto to jest, powiedziałabym jej kilka słów prawdy!

Ludwik odwrócił się i zmarszczył niechętnie.

— No, no, Janiu! Proszę cię, tylko nie tak ostro!

— To jeszcze za łagodnie! — odrzuciła siostra — Teraz przy takiej drożyznie, przy tylu nieszczęściach, kiedy po wszystkich kątach kryje się bieda — wyrzucać pieniądze w taki idyotyczny, bezmyślny sposób!... Ile to sierot, rannych, kalek... A tu jakaś waryatka bawi się w przesyłanie bezimienne kwiatów i cukierków! To doprawdy...

— Moje dziecko — przerwała pani Rażycka — w tem, co mówisz jest dużo słuszności, ale... widzisz, nie wszystko można mierzyć jedną miarą... Staraj się, Janeczko, być mniej pohopną do ostrych sądów... Wierzaj mi, że jesteś bardzo młoda i dlatego nie możesz jeszcze wszystkiego zrozumieć.

Głos pani Rażyckiej zabrzmiał tak poważnie, że Janka nie odezwała się już z żadnym protestem.

Długą chwilę panowała cisza.

— Mamusi — przerwała milczenie Janka — ja idę już do ochronki. I tak się spóźniłam. Do widzenia!

(Ciąg dalszy nastąpi)